

Nie każda spowiedź kończy się rozgrzeszeniem, czasem tylko ciszą

VLADYSLAV SIEDOV

Modlimy się, Panie



Modlimy się, Panie

VLADYSLAV SIEDOV



WYDAWNICTWO
**WŁASNYM
SŁOWEM**

Wydawnictwo Własnym Słowem

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione.

www.wlasnymslowem.pl

Redakcja/Korekta: Kamila Całka

Zdjęcie autora: Roman Teysler

Wydanie elektroniczne

ISBN: 978-83-978305-1-6

Copyright © Vladyslav Siedov, 2025

*O samotności, mój najśladzszy wybór,
Ty – miejsca nocy oddane,
Z dala od zgiełku i wrzawy w pokorze –
Jakże koisz myśli zranione!*

*O niebios! Jakie to szczęście
Patrzeć na drzewa, które trwają
Od zarania dziejów,
Czczone przez wszystkie wieki,
Za świeżość liści i barw łagodność,
Jak w dzień, gdy pierwszy raz ujrzałem ich młodość.*

*O! Jakież widok tych szczytów wspaniały,
Co wznoszą się w gościnnym milczeniu,
Jakby nieszczęśliwych zapraszały,
By tu dopełnili swych cierpień w cieniu
Tych, których los w okrutne pchnął drogi,
Gdzie tylko śmierć przynieść może spokój błogi.*

*O, jakże uwielbiam samotność!
Żywiół ducha najczystsze,
Gdzie bez bólu edukacji
Apollo nauczył mnie języka swego.*

*To dzięki tobie kocham to, co tworzę,
I gonię marzenia twym natchnieniem,
Lecz gdy ku sobie myśl swą złożę –
Pojawia się także i zniechęcenie.*

*Bo ty, Samotności, choć mi droga,
Odsuwasz mnie od Siebie – miłości i Boga.*

Katherine Fowler Philips, **“Solitude”**
na podstawie dzieła Antoine’a Girarda Saint-Amanta.
Tłumaczenie własne.

Wojna szaleje nie tylko na froncie – równie skutecznie zdobywa serca młodych chłopców. Najpierw zabiera Wiarę. Potem dobija Nadzieję. Na końcu odbiera to, co mogło ich jeszcze ocalić – Miłość. Zostaje im modlitwa. Autodestrukcyjna, pusta, pełna ciszy. I tęsknota za pokojem, który już nie ma dokąd wrócić.

Agnus Dei, qui tollis peccata mundi, miserere nobis.

Na początku był bezład, ciemność, pustka. I może istniałeś Ty, Panie – ale czy naprawdę? Tego nie wiem na pewno. Może byłeś światłem, zanim pojawiło się światło. A może jedynie nadzieją, której się trzymałem, by nie stracić zmysłów.

Dziś nie przynoszę Ci ofiary z męstwa ani wielkiej wiary – niewiele mi z nich zostało. Oddaję Ci tylko resztki siebie. Strzępy myśli. Oby starczyło mi sił, by wypowiedzieć wszystko do końca. Moje palce drżą jak wtedy, gdy pierwszy raz wyciągałem linę z zasieków; metaliczny smak krwi znów wraca mi na język. Ale skoro jeszcze oddycham, skoro jeszcze drży dłoń, jestem Ci winien te słowa. Serce mi pęka i muszę mówić, choćby przez zaciśnięte zęby.

Niech to będzie moje spóźnione *mea culpa*. Rachunek duszy.

To jest dwudzieste stulecie od narodzin Twego Syna. Dobrze wiesz – czas piekielny, niepewny. Uciekałem przed śmiercią, szukając spokoju. Im bardziej pragnąłem żyć, tym ciemniej wydawało się dookoła. Wierzyłem w Ciebie, bo wiedziałem, że jesteś we mnie. I będę Cię błagał, byś mi darował grzechy, które popełniłem z nieświadomości i przez cudzą wolę.

A tak bardzo chciałem żyć, Panie. Tylko że zawierucha wojenna, która opanowała moje serce, zniszczyła resztki dobra – przemieniała szczęście w niedolę, a zbawienie zamieniła w karę. Przekłety jeździec, antychryst, kradł Wiarę i rozrywał na kawałki Nadzieję. A na końcu, jako zwycięzca, niszczył ostatnią rzecz, która ratowała mi życie – Miłość. I znów grzeszyłem, aby nie poddać się jeźdźcowi, jego łukowi i koronie. Walczyłem z potężną siłą – to ona niszczyła, sądziła po swojemu, zabijała według własnego upodobania. Przekłeta siła ukrywała się pod świętością, ale służyła diabłu...

Przegrałem. Serce waliło aż do ostatniego wysiłku, a potem wszystko zgasło – żadnej iskry, która mogłaby wskazać drogę. Czerni, mgła, bezdenny mrok. Żadne światło nie rozjaśniało tej ścieżki.

Zamykam oczy i widzę twarz Herberta – martwą i pozbawioną

światła. Jego chłodne ciało dryfuje po wodach Styksu, a ja trwam tutaj... zagubiony i pełen rozpacz. Życie bym oddał, aby jeszcze raz dotknąć jego ust, zapytać o cokolwiek, by musiał uchylić wargi. Jak boleśnie dalej pamiętać ciepło tych ust, ich wilgoć i miękkość – gdy świat przestawał istnieć, a czas zwalniał, jakby nie mógł nas dogonić. A on rozradowany uśmiechał się do mnie... I te usta rozplýwały się w szczęściu. Promieniował potężnym blaskiem radości życia. Wszystko wtedy miało sens. Z małych, rozbitych okruszków wszystko nabierało swoją formę.

Après moi, le déluge!

Modliłem się, Panie. I po raz pierwszy nie usłyszałaś moich modlitw albo ja nie rozpoznałem Twojej odpowiedzi. Ciągłe powtarzam moje wołania i grzech się przyznać, jednak tracę wiarę. Przestałem odczuwać Twoją obecność, a bez Twej pomocy nie mogę dłużej znieść powracających wspomnień.

Przed oczami ten sam dzień niczym pętla czasu, w której zostałem uwięziony. Nie uratowałem go. Nawet zniósłbym ponownie grzmot armat i dławiący smak gazów, przyklęknąłbym w błocie drżącym od wybuchów, gdybym tylko mógł zobaczyć go choć na ułamek sekundy. Jedno spojrzenie w te oczy wystarczyłoby, bym znów uniósł głowę i poszedł dalej, choćby pod najcięższy ostrzał. Ale to tylko moja wyobraźnia.

To czymże jestem? Przekleństwem, które niesie zgubę czy tylko bezsilną ofiarą przeznaczenia? A może to moja własna kara za przelaną krew i kłamstwa, którymi zasłaniałem prawdę – diabelska siła, niszcząca wszystko, co kocham.

Lecz powiedz: czy naprawdę na to zasłużyłem?

Ból wżerał się we mnie tak głęboko, że chwilami nie chciałem już żyć. Za każdym razem, gdy ledwie dotknąłem kruchego balsamu ukojenia,

¹ fr. Po nas choćby potop

los natychmiast wyrwał mi go z dłoni. I tak bez końca – jedna nadzieja, jedno rozczarowanie.

Przetrwałem trzydzieści parę lat – dość długo jak na te czasy, w świecie pełnym rozpacz. Przez chwilę byłem uważany za męznego bohatera. A potem opluty przez moje pragnienie życia – zabawne, czyż nie? Jak każdy, marzyłem, by oddychać i żyć. Pragnąłem przerwać ten łańcuch rozpacz, uciec od zagłady, a oni, niech ich piekło pochłonie, gloryfikowali widowisko zabijania. To szaleńczy obłęd, który pożera tysiące istnień. I, wierz mi, Panie, nic się nie zmienia – ich wiedza o życiu zawsze urywa się tam, gdzie zaczyna się śmierć.

Pędziłem jak opętany, by choć przez chwilę podziwiać piękno Twojego dzieła i zaznać spokoju, lecz tuż przed progiem utraciłem wszystko, co trzymało mnie przy istnieniu. Marzyliśmy z Herbertem, by uciec od wojny, od mroku cudzych sądów i żyć miłością, którą nam darowałaś.

Popełniłem błędy – być może takie, których nie da się już naprawić. Może nigdy mi ich nie wybaczysz. Czuję, że nadeszła moja osobista Apokalipsa, że dni ostateczne zbliżają się nieubłaganie. Może odrodzę się z popiołów, a może wszystko, co robiłem, było tylko ucieczką przed prawdą o mnie i o świecie.

Niech więc ta noc stanie się moją spowiedzią. Opowiem Ci o grzechach, które nabierałem ostatnio: o krwi, kłamstwach, o chwili, gdy ostatnia iskra nadziei zgasła pod grzmotem artylerii – tej prawdziwej i tej, która wciąż huczy w mojej głowie. Zostawię Ci wspomnienia, które niektórzy nazwaliby bluźnierczymi, lecz tylko takie mam w tych przeklętych czasach.

Jak syn marnotrawny żałuję z głębi serca za wszystko, czym Cię obraziłem. Wiem, że zasłużyłem na karę, ale proszę, daj mi jeszcze jedną szansę. Pozwól wypowiedzieć wszystko, co dławi moje serce i może ocalić resztki duszy.

Zbaw mnie od złego.

Amen.

Minął nieco ponad rok od tamtej nocy. Kilka miesięcy wcześniej, zanim włożyłem sutannę, dźwięk moździerzy był jedyną modlitwą, jaką znałem. To wtedy przestałem wierzyć, że przeżyję, że wojna kiedykolwiek się skończy. I właśnie w tym momencie zaczęła się moja droga ku ślepcie...

Wszędzie panowała podejrzana cisza. Wiedziałem, że coś się dzieje, tam dalej. Ziemia lekko zadrżała, a w uszach zabrzmiał znajomy huk eksplodującego szrapnela. Nieprzyjemne wstrząsy przenikały przez karoserię naszej ciężarówki, odbijały się od nierówności terenu, dziur i zgłiszczy po detonacji pocisków. Teren został wyczyszczony, nie było zagrożenia. Chciałem przymknąć oczy i się zdrzemnąć, ale ten cholerny ból nie pozwalał mi skupić się na śnie. W bezruchu patrzyłem do góry. Brezentowy dach był tak podziurawiony, że niebo zaglądało do środka. Tysiące migocących gwiazd rozświetlały czarną powierzchnię ziemi niczym oczy, które obserwowały, jak ludzkie okrucieństwo zbiera swoje żniwo.

Odwróciłem głowę. Zmęczony Herbert spoglądał to na mnie, to na pustkę przed nami. W tamtej chwili nie przeszkadzała mi cicha rozpacz w kabinie ani to, że miałem zakrwawioną i brudną twarz. Wszyscy obecni skupili się na ostatnim wdechu świeżego powietrza. Każdy chciał wydłużyć ten moment. Każdy wołał pobyć sam i wydostać się z ciągu niekończących się dźwięków.

Kolumna zatrzymała się z głośnym sykiem hamulców. Młodzi żołnierze wyskakiwali pojedynczo z otwartych pak – po pięciu, sześciu na ciężarówkę.

– Za godzinę w pobliżu prawego skrzydła pojawi się wsparcie. Ustawimy artylerię i przygotowujemy się do porannego ataku. Zrobimy

to szybko, chłopcy, precyzyjnie – rzucił kapitan Kuffner przez uchylone okno. W jego głosie nie zabrzmiała żadna emocja.

Wyczerpani młodzi mężczyźni, pozbawieni odpoczynku, ruszyli w kierunku lasu, w głąb naszych pozycji. Rzuciłem w ich stronę krótkie spojrzenie – chciałem zobaczyć ich twarze. Czy dożyją do jutrzejszego wieczoru – nie wiedział nikt.

– Wy dwaj – zwrócił się do mnie i Herberta – jedziecie ze mną. Zaczynamy jako pierwsi.

– Co dokładnie robimy, kapitanie? – spytałem.

– Usiłujemy przeżyć, jak zawsze. – Kuffner się roześmiał, a Herbert spojrział na niego z dezaprobatą. To nie był trafny żart, a już na pewno nie w tamtej chwili. – Do cholery jasnej, czemu tak się gapisz? – Kapitan odebrał ciszę jako atak. – Kiedy toniesz w gównie, nie masz wyboru. Tylko brnąć. Póki nie udusisz się smrodem.

Zmarszczył czoło, mówił coś do siebie. Wyczuwałem, że wyprowadziło go to z równowagi. Wzbierało się w nim jak w wulkanie buzującej energii, gotowym wybuchnąć z byle powodu.

– Plan jest taki: ogarniemy ten zasrany drut, by piechota mogła się bronić. Kiedy zacnie świtać, przystąpimy do natarcia. Według moich obliczeń zostały nam dwie, trzy godziny do przybycia wsparcia. Mamy zaskoczyć Ruskich, nie mają przewagi i są dosyć kiepsko uzbrojeni. Ale i tak powiem wam, te skurwysyny nieźle sobie radzą. Jak przebiją się przez ten drut... no to... Zresztą, rozeznani jesteście.

– A jeśli to znowu zasadzka? – zapytał z niedowierzaniem Herbert.

– Czy nie lepiej wykorzystać okazję i zaatakować od tyłu?

– Skończ już z tym gadaniem, chłopie. Co od tych diabli ruskich czekać, tego nawet prawosławny Bóg nie wie. Mam taki rozkaz z góry, koniec – odparł kapitan i odwrócił się do kierowcy. Wyraźnie chciał uniknąć kontynuacji rozmowy. Ale nas, starszych, nie dał rady oszukać. My dobrze wiedzieliśmy, co na nas czekało.

– Menda... – wypalił cicho Herbert. Sięgnął do kiszeni, wyjął papierosa i zapalił go od ledwo tłącej się zapalki.

Spojrzał na mnie głęboko osadzonymi zielonymi oczami – wyczuwałem ten zmęczony i przewlekle niedospany stan. Przez dwa dni bez dobrego spoczynku czujesz się jak dryfująca łódź na bezbrzeżnym oceanie, bez kierunku, bez celu. Rzeczywistość zlewa się w jeden nieskończony koszmar. W mglisty i chaotyczny ciąg obrazów. Przed tobą eksplodują zmyślane granaty, dusisz się powietrzem jak gazem trującym, nie masz sił podnieść się w najważniejszym momencie. Sen i papierosy to kotwica – a tego nam brakowało.

– Chcesz?

Zapaliłem. Herbert czasem sobie żartował, że gdybyśmy mieli więcej czasu na drzemkę, to być może ta wojenka nie wydawałaby się tak męcząca. Zresztą znasz jego durne poczucie humoru, Panie. Potrafił się śmiać nawet wtedy, gdy nie było już z czego.

Poczułem łagodzący przyływ nikotyny.

– Może odwalić jakiś numer? Niech się tutaj wszystko rozpiardoli, będę miał święty spokój przez parę dni w pace – wypalił całkiem poważnie.

– Mówisz poważnie? – zapytałem.

– A co, nie brzmi jak plan? – Wzruszył ramionami. – Człowiek zrobi coś głupiego, dostanie parę kopniaków, ale przynajmniej się oderwie od tutejszych spraw.

Parsknąłem pod nosem.

– Jasne. A jak ci wlepią karny bilet, to też powiesz, że warto było?

– A weź. Ty to zawsze o konsekwencjach...

Trzy tygodnie wcześniej zostaliśmy wysłani bezpośrednio na front, na walkę. Było spokojnie, ale przedostatniego dnia Rosjanie zaczęli nas bombardować jak przekłęci; pociski spadały jak gromy z jasnego nieba. Diabeł ich chyba wziął, Bóg jeden wie... Większość naszych towarzyszy zginęła w bestialskim ogniu, a ci, którzy przeżyli, mieli kiepskie morale.

Całkowicie straciliśmy zapal do walki, a ciągle przemieszczanie się wypędziło z chłopców dobry nastrój. Każda kolejna decyzja dowódców zwiększała naszą bezsilność i beznadzieję. Zdawałem sobie wtedy sprawę, że od jakiegoś czasu deptałem śmierci po piętach. I jak każdy nie chciałem umierać. Miałem cel – musiałem wydostać się stąd wraz z Herbertem.

Ale kiedy? I czy mogłem? Aczkolwiek myśl o ucieczce wystarczała, by pchać mnie naprzód.

Ryczenie silnika przycichło. Wóz zatrzymał się po raz kolejny, tym razem na naszym miejscu wysiadki. Podniosłem plandekę i szybko rozejrzałem się po okolicy.

Nic nie słyszałem. Cisza. Ostrożnie wyskoczyłem na ścieżkę. Ziemia była wilgotna, ledwo padał deszcz. Po uciążliwym upale mżawka wyglądała jak zbawienie. Herbert wyskoczył za mną i wylądował w błocie.

– Do diabła, przecież dopiero wyczyściłem te buty.

Uśmiechnąłem się i przez nieuwagę prawie uderzyłem głową w stary drewniany znak – drogowy zapisany cyrylicą. Zborów. Kapitan nakazał nam się rozejrzeć i rozpocząć przygotowanie wzmocnień. Dobra okazja, by odpocząć. W przeciwieństwie do tych wszystkich maszyn, które wykonują swoje zadania bez naturalnych ograniczeń, byliśmy naprawdę wyczerpani. Żelazne konie ryczą, ale poruszają się dalej. Człowiek potrzebuje innego podejścia. Bez względu na to, jak bardzo staramy się wyeliminować z człowieka wszystko, co ludzkie – godzinami musztrując, męcząc głodem, wlewając tonę propagandy – dalej ma swoje potrzeby. Maszyny czasem mogą działać bez smarowania – kiepsko, jednak dalej działają.

I wtedy w moim żołądku zagrzmiało i nie liczyło się nic oprócz tego głodu.

– Słyszałem to. – Herbert spojrział na mnie z rozbawieniem. – Twój brzuch właśnie ogłosił bunt.

– Zamach stanu – mruknąłem. – Dowództwo przejęły kiszki.

– Przy wjeździe widziałem opuszczony folwark. Może jeszcze coś tam zostało. Idziemy?

Rozumieliśmy się bez słów. Głód to bowiem drugi problem wojny. Szedłem z trudem, kulałem wyraźnie. On to zauważył.

– Kiepsko się miewasz, co? – Herbert wskazał ręką na moją raną kończynę.

– A jak powinien się czuć zwykły człowiek, gdy ktoś przestrzelił mu nogę?

– No dobra, dobra. – Uśmiechnął się. – Ale hej, trafiło w nogę, nie w głowę. Zobacz, jaki fart!

– Jasne. Kto by chciał chodzić z kulą w czole? Marnie się wtedy wygląda na pamiątkowych zdjęciach.

Herbert parsknął śmiechem, czystym, niewinnym. Znow mieliśmy po piętnaście lat i dopiero wymknęliśmy się z lekcji.

– Wiesz, stary, czasem się zastanawiam, czy my nie jesteśmy ostatnimi idiotami, którzy jeszcze próbują w tym wszystkim udawać normalnych ludzi.

Szliśmy kawałek w ciszy. Wiatr niósł zapach starego siana i kurz.

– A gdyby tam były jakieś kury? – rzucił Herbert nagle. – Albo chociaż ziemniaki? Kurwa, marzę o ziemniakach. Pieczone. Z masłem. I solą.

– Umrę, zanim tam dojdziemy.

– Dobra, dobra, to nie gadam. Jak znajdziemy coś do jedzenia, ty się dzielisz. Bo jak nie, to wsypię ci tę sól do rany.

Herbert po raz kolejny zaniósł się śmiechem i tryskał dobrym humorem. Tak, ten uśmiech eliminował mój strach. Czulem się bezpieczniej.

Pamiętam ten dzień, gdy ostatecznie uświadomiłem sobie, że nasze losy dalej łączy siła przeznaczenia. To było na początku wojny. Lato 1914, jeśli nie pomyliłem się w strumieniu czasu. Zostaliśmy wysłani na front wschodni. Armia feldmarszałka Hötendorfa naciskała na wojska rosyjskie z prawego skrzydła. Rosjanie wycofywali się od Tomaszowa na północ. Wojska przeciwnika na lewym skrzydle rozpoczęły niespodziewany atak.

Niszczyli wszystko, co wpadało im w ręce. Palili, mordowali, plądrowali pola, brali do niewoli naszych żołnierzy, by ich torturować, a potem, gdy ci już o to błagali, zabijali ich.

Podczas jednego ataku nasz oddział stał pod Gniłą Lipą – wydaje się, że tak nazywało się to miasto. Ewakuowano miejscowych, zajęliśmy ich domy. Siedzieliśmy i czekaliśmy na piechotę. Wieczorem zostaliśmy rozgromieni. Nasi w odpowiedzi strzelali na oślep. Budynki rozpadały się jak domki z kart. I na moje nieszczęście, byłem w jednym z nich. Kawał ściany odłamał się i uderzył mnie z tyłu. Nie zabiło mnie, ale mocno przycgnięło. Szanse na przeżycie? Właściwie żadne. Pogodziłem się ze śmiercią. Jedną ręką próbowałem sięgnąć po broń, gotów zakończyć tę farsę wojny po swojemu. Uważałem, że lepiej umrzeć z własnej woli, niż skończyć jak zwierzę na ubój. Odarty z godności. I wtedy, przez kłęby pyłu, zobaczyłem te oczy. Zielone. Herbert. Niemal kosztem własnego życia wydostał mnie spod cholernego gruzu. Słyszałem, jak przelatują pociski i rozpadają się budynki. Kolejny raz zdałem sobie sprawę, jak dużo dla mnie znaczył. Uciekliśmy razem – jak setki razy przed tym. I przez chwilę wygraliśmy. Tak bardzo go potrzebowałem.

Nasza przyjaźń zaczęła się w dzieciństwie, gdy spotkaliśmy się przypadkiem na podwórku sąsiada.

Herbert był odważny i zuchwały. Ingrid, jego siostra – zaradna, wesola. No i z tym swoim nieodpartym uśmiechem, który potrafił rozbroić każdego. A ja? Byłem cichszy. Bardziej zamyślony. Każdy z nas stanowił część sprawnie działającego mechanizmu. Wtedy to był nasz świat.

Bawiliśmy się w wojny. Rzucaliśmy patykami jak granatami. Z koców powstawały nasze małe forty. Wymyślaliśmy bohaterów, którymi chcieliśmy być. Marzyliśmy o przygodach. Pamiętasz to, Panie?

Tyle że nikt z nas nie przypuszczał, że kilkanaście lat później będziemy trzymać w dłoniach prawdziwą broń. I równie prawdziwą amunicję. I że wszystko zostanie nam odebrane.

– Weź, powiedz cokolwiek. Nie znoszę tej kłamliwej ciszy przed burzą – odezwałem się.

Herbert spojrział na mnie przez moment, po czym odwrócił się i popatrzył w stronę obozu. Potem przyłożył mi dłoń do ust.

– Cii, nie gadaj teraz – szepnął. – Posłuchaj... eee... Najpierw musimy uniknąć, no, towarzystwa naszych uroczych kompanów.

Zerknął po raz kolejny za ramię i po chwili pociągnął mnie lekko w bok, w stronę krzaków. Skręciliśmy przy krawędzi lasu. Szliśmy dalej w milczeniu. Tylko liście szeleściły pod nogami.

– Nastawiaj ucha, koleżko – polecił nagle, ścisząc głos jeszcze bardziej. – Dostałem list. Niedawno. To znaczy... no wiesz, kiedy byłem na wsi, na przepustce. Wiem, że minęło trochę czasu. Ale nie zerkaj na mnie tak. Nie mówiłem, bo nie miałem jak. Sam nie byłem pewien, co z tym zrobić. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki. Wyjął zmiętą, pobrudzoną kartkę. Było zbyt ciemno, żeby mógł odczytać choćby jedno słowo. – Schowaj no to. – Podał mi świstek. – Tam jest adres. Kiedy wszystko zacznie się walić – a zacznie, wiem to – pójdziesz tam. I to wystarczy.

Nic nie rozumiałem. Pokręciłem głową.

– Nie łapię. Co to za miejsce? Co mam zrobić?

Herbert wciągnął powietrze przez zęby, sapiąc z niezadowoleniem.

– Nie bądź durniem, Orzechu. Jak skończymy z tym bałaganem tutaj, trzeba ruszyć. Jak wygramy tutaj, to ulotnimy się jak najszybciej. Bo teraz już nie chodzi o zwycięstwo. Tu chodzi o to, kto przeżyje wystarczająco długo, by uratować swoje dupsko.

Domyśliłem się, o czym mówił. Niedużo wcześniej czterech naszych chłopaków z legionu po prostu zniknęło. Ziemia ich zjadła. Dezercja stanowiła ogromny problem dla naszej armii. W rezultacie morale było niskie, a atmosfera – duszna. Nikt już nie rozumiał, po co właściwie walczymy. Ani za kogo. Ani przeciw komu. Sam już przestałem to rozumieć. Wojna wydawała się coraz bardziej bezsensowna. Bez punktu. Jakbyśmy

zostali wrzuceni w sam środek dzikiej rzezi, zostawieni tu bezbronni. Mięso armatnie.

Może oni wcale nie byli tacy głupi.

Natychmiast ścisnęło mnie w środku. Bałem się osądu.

– Nie ma najmniejszej szansy, żeby nie złapała nas żandarmeria...

– odparłem.

Tak właśnie skończyła się historia tamtej czwórki.

– A uważasz, że nie przewidziałem takiego oczywistego ciągu wydarzeń? – rzucił Herbert.

– Sam widzisz, kogo nam tu rzucają. Myślisz, że jak znikniesz, to wszyscy wzruszą ramionami? Będą cię szukać, Herbercie. Jak psy diabelskie. W każdej dziurze. W każdym mieście i stodole. Dorwą cię i zaciągną z powrotem, a jeśli nie, łeb ci ukręcą i tyle z tego będzie.

Herbert wzruszył lekko ramionami. Konsekwencje znał aż za dobrze.

Zamilkłem. Coś się we mnie zacisnęło. Czulem, że miał plan. Że nie mówił wszystkiego. Że wiedział coś, o czym ja nie wiedziałem. Mój umysł kotłował się od wątpliwości. I to nie była nieufność. Przeciwnie – ufałem mu bardziej niż komukolwiek. Może właśnie dlatego czulem, że gra o coś większego.

Bałem się, że jego wielkoduszność zakładała moją ucieczkę. Że sam zostanie, żeby mnie odesłać w bezpieczne miejsce. Że planował coś po cichu, a ja miałem w tym planie odegrać rolę, o którą się nie ubiegałem.

– Spotkamy się tam – powiedział w końcu cicho. – Użyczą ci jakiegoś materacyka. Poczekasz na mnie. – Trzymał rękę na moich plecach i patrzył mi w oczy. – Wszystko jasne?

– A ty? Ty tam pojedziesz? Z miejsca odrzucam możliwość robienia czegokolwiek w pojedynkę. Skąd ta pewność, że uda ci się stąd ot tak myknąć?

– A ja odrzucam te twoje głupie gadki – prychnął. – Nie mam czasu

na filozofię. I nie mam też pewności, czy jutro przeżyję, czy będziesz mnie zbierał z błota na paszę dla odyńca...

Patrzył na mnie. Zaschnięty brud i pot na twarzy oraz szorstki zarost, niegolony od wielu dni, podkreślały jego surowy wygląd. W świetle księżyca dostrzegłem na jego policzku cienką, lecz głęboką bliznę, której wcześniej nie zauważyłem. To przez takie piekło przeszliśmy i takim wysiłkiem płacimy za kolejny przeżyty dzień.

– Ale się uda, prawda? – zapytałem cicho, prawie szeptem.

Chciałem, żeby coś powiedział. Cokolwiek. Przerazała mnie ta cisza. Dotknąłem jego twarzy. Mimo blizn wciąż była uwodzicielsko przystojna.

Od dawna nie miałem okazji do zwykłej rozmowy sam na sam. Tęskniłem za tym. Znów chciałem wrócić, choćby na chwilę, do tamtego mieszkania. Do tamtej przedostatniej nocy.

– Kiedy to wszystko się skończy... jak będziemy żyć? – zapytałem Herberta, aby jakoś przerwać lodowate milczenie między nami.

Teraz wiem – to było najgłupsze pytanie, jakie w tamtej chwili mogłem wydusić.

– Może założę winnicę. Zawsze o tym marzyłem. Praca w ziemi, spokój... Może właśnie tego chcę dla mnie niebiosia. Ciszy. Prawdziwej, a nie tej wojskowej farsy, gdzie wszyscy udają, że się nie boją – rozumiesz? Może uda się zbudować dom. A wcześniej na pewno gdzieś wyjedziemy – odparł przyjaciół.

– A czy ty w ogóle będziesz umiał? Bo mam wrażenie, że już nigdy nie przestanę widzieć tego łajna.

– A niech cię... Czy jakiś ksiądz ochrzcił cię tymi głupotami? Skąd bierzesz te pytania?

Nie wiem, dlaczego zacząłem go wtedy pytać o takie bzdury. Po prostu byłem wykończony ciągłym strachem. Kryło się we mnie coraz więcej lęku i czasami doznawałem nieznanego wcześniej stanu – gdy przedstawiałem

myśleć rzeczowo, a wpadałem w panikę. W mojej wyobraźni rozpychała się obsesyjna, czarna wizja.

– Widzę – powiedział cicho, patrząc mi prosto w oczy. – Boisz się. A to znaczy, że jeszcze żyjesz.

Po raz kolejny Herbert sięgnął do kieszeni swojej przetartej kurtki i wyjął ostatniego papierosa. Trzasnęła zapalka. Poczulem znajomy, ostry zapach tytoniu. Lekkie poczucie komfortu. Że byliśmy tam. Razem.

– Jak dożyję tej chwili, kiedy będziemy siedzieć przy rumie, w ciepłym domu, to, kurwa, nie będę śmiało prosić o cokolwiek więcej.

Ale mnie te słowa nie uspokoiły. Wręcz przeciwnie. Coś wewnątrz mnie zaczęło się zaciskać. Ten papieros. Głos Herberta i jego spokojne spojrzenie. Wszystko to tylko utwierdzało mnie w przeczuciu, że coś złego czaiło się blisko. Zbyt blisko. Instykt krzychał. Nie pierwszy raz. I dobrze już znałem jego ton.

– Przed ostatnim natarciem miałem wizje – mruknąłem niemal do siebie. – Złe. Nie wiem, Herbercie, czy dożyjesz tego rumu. Gównu z tego będzie. Naprawdę sądzisz, że jeszcze mamy na tyle zdrowego rozsądku, żeby wierzyć w takie bzdety?

Herbert wypuścił dym z ust i wzruszył ramionami.

– No i co z tego? Setki razy budziłem się zlany potem, łapiąc powietrze jak ten topielec. A mimo to dalej chcę jeść. I żyć, jakimś cudem. Chcę zwinąć flagę i zniknąć. Niech się sami bujają z tym piekłem. Ja swoje już oddałem. Finita la commedia. I tobie też radzę: przestań myśleć o tym gównie. Przynajmniej teraz.

Nie mogłem już trzymać tego wszystkiego w sobie. Och, wiem, że wtedy powinienem był milczeć, że tak nas nauczono. Że uczucia to słabość. Że się o tym nie mówi, bo można oszaleć. Bo właściwie każdy się boi, że słowa mogą się zmaterializować jak zaklęcie, które przywoła to, czego obawiamy się najbardziej.

– Domyślam się, co chodzi ci po głowie. Nie mów więcej. Zrozumiano?
– nakazał ostro. Zaciągnął się jeszcze raz, długo, głęboko. – Spójrz na mnie.

Podniosłem wzrok. Nawet w tej chwili dostrzegałem w nim potężną iskrę determinacji. Uparty. Był to typ twardziela, który zawsze wiedział, że droga przed nim jest trudna. A jednak nie zamierzał się poddawać.

– Przebrniemy – powiedział spokojnie. – Może jeszcze miesiąc. Może krócej. Wczoraj Kuffner gadał, że od rana mają dostać posiłki. Piechota, kilka setek, dobrze przeszkoleni. Z artylerią i zapasem amunicji. To nie będzie już taka obrona jak ostatnio. – Zaciągnął się znów i dodał z uśmiechem: – A za parę tygodni? Pojedziemy na urlop. I może... może już tu nie wrócimy.

– Durniu, proszę cię... Nie wciskaj mi, że naprawdę wierzysz w dobrą obronę. Jakie my mamy szanse? – Wskazałem ręką w stronę obozu, gdzie migotało blade światło. – Spójrz, ilu nas zostało. Kto jeszcze z naszych żyje?

Herbert milczał. Przez chwilę nie ruszył się nawet o krok. Jego szczęka lekko drgała. Wykrzywiłem usta w gorzkim uśmiechu. Wiedziałem, że trafiłem w czułe miejsce.

– Pamiętasz, kogo nam rzucili ostatnim razem? – kontynuowałem niezłomnie. – Wszyscy zakładamy się o to, czy uda nam się tym razem pozbierać ich flaki i resztę mięsa do kupy.

Przyjaciel sapnął przez zaciśnięte zęby. Wyrzucił papierosa w trawę i ruszył w stronę gospodarstwa. Nie odpowiedział, bo wiedział, że miałem rację.

Straciliśmy zbyt wielu. Głównie młodych. Zbyt młodych. Przysłano nowy batalion: dwustu chłopców, może piętnastu starszych. W większości niezdolnych do walki. Niedoświadczonych i przestraszonych. Wielu z nich dopiero tutaj po raz pierwszy w życiu chwyciło broń. Już na froncie, poprzez strzały i niemalże śmiertelne doświadczenie, nauczyliśmy ich jako tako ją trzymać.

Młodzież nie miała żadnego pojęcia o wojnie, o niezbędnych

zdolnościach obrony własnej głowy. Nie wiedzieli, że trzeba umieć dostrzec metr szczeliny w ścianie, w porę się tam wcisnąć. Nie wiedzieli, że każda broń brzmi inaczej, pachnie inaczej i każda wymaga innej reakcji. Czasem zupełnie improwizowanej.

Na początku próbowaliśmy ich liczyć. Po każdej zmianie. Od jednego do dziesięciu, potem do trzydziestu, potem... potem już nikt nie liczył. Zginęli tak szybko, że to nie miało sensu. Liczby tylko przytłaczały.

Zaczęliśmy kłamać. Raportowaliśmy, że wszystko się zgadza, żeby nie przysyłano kolejnych młokosów do piachu. Przecież to było istne szaleństwo, Panie! Czyste, zimne szaleństwo. I obyś Ty miał ich dusze w opiece, bo my nie potrafiliśmy ich uchronić.

To było nie do zniesienia. Gdy pierwszy raz trafiliśmy na front, nic nie robiło na nas wrażenia. Wmawiali nam, że każdy mężczyzna ma obowiązek wobec swojej ziemi, wobec ojczyzny. I wierzyliśmy. Później pojęcie „wojny sprawiedliwej” zaczęło brzmieć jak pusta formułka dla tych, którzy nigdy nie strzelali. Brzmiało to dobrze dla tych, którzy wojny nie widzieli, a mimo to mówili o niej z przekonaniem kaznodziejów...

Nie powiedzieliśmy już ani słowa. Szliśmy przez las. Materiał kurtki kleił mi się do karku. Było mokro i nieprzyjemnie.

Po chwili doszliśmy do drewnianej stodoly. Zatrzymaliśmy się. Coś kryło się w środku. Słyszeliśmy niski dźwięk, powtarzalny. Przypominał chrząknięcie. Spojrzeliśmy na siebie. Herbert musnął palcem spust, gotów strzelić. Powoli otworzyliśmy drzwi.

– Poczekaj – mruknął cicho. – Zapalę zapalki. Ciemno jak w dupie Murzyna, choć w pysk daj.

Miał rację. W środku panowała gęsta ciemność. Przez chwilę żywiłem nadzieję, że może stary rolnik zostawił coś po sobie albo Ty, jakimś cudem, nie życzyłeś nam śmierci głodowej.

I wtedy – zobaczyłem je.

Kilka przerażonych kur zebranych na środku pomieszczenia,

przycupniętych w kącie. Herbert, nie tracąc chwili, delikatnie zbliżył się do nich od tyłu, jednocześnie powoli opuszczając ręce. Szybko złapał jedną, potem drugą, a chwilę później trzecią. Reszta rozbiegła się na boki. Z radosnym uśmiechem odwrócił się do mnie, jakby właśnie wygrał coś cenniejszego niż złoto.

Był dumny z własnej poradności. Taki duży dzieciak, który złapał złotą rybkę. A ja natomiast byłem szczęśliwy, czekała nas bowiem pyszna kolacja. Nie mogłem patrzeć na konserwy, które dostawaliśmy od zaopatrzenia. Cuchnęły metalem i pleśnią. Jedzenia po prostu brakowało i sytuacja się nie poprawiała.

– Proszę bardzo. Prawdziwa ucztą. Ano pomóż mi je ukatrupić.

To może brzmieć jak absurd, ale właśnie te trzy kury symbolizowały całą naszą egzystencję. Na jakim prymitywnym poziomie wtedy funkcjonowaliśmy, jakie prymitywne mieliśmy życzenia.

Znalazłem dużą deskę. Wyciągnąłem swoją bojową siekierę, a Herbert podał mi jedną z kur. Była nerwowa. Zwierzęta przecież wiedzą. Czują, kiedy zbliża się śmierć. Kura trzęsła drobnymi nóżkami, wyginała się, skrzeczała panicznie. Próbowwała się wyrwać. Zbędne. Rozpaczliwe próby przetrwania.

Poczułem się podle, przygnębiony. Ale byłem głodny. Nie jedliśmy niczego porządnego od dwóch dni.

Zamachnąłem się i odciąłem jej głowę jednym ciosem.

– Zobacz, jaka szalona bestia! – odezwał się Herbert z półuśmiechem.

Bezgłowa kura, wciąż napędzana konwulsją nerwów, rozpoczęła swój śmiertelny taniec. Trzepała skrzydłami. Rzuciła się po klepisku stodoły, a z szyi wytryskiwały strumienie krwi. Czerwone plamy zachlapały moją kurtkę i ręce.

Nie mogłem na to patrzeć. Poważnie. Nie mogłem patrzeć, jak to coś, jeszcze przed chwilą żywe, walczy ze śmiercią. Ta krew... Czerwone krople. Tłuste. Rozgrzane. Jak lzy ciała.

Nie wiem, Panie, dlaczego właśnie o tym Ci opowiadam. Te drobne detale, które teraz mogą wydawać się absurdalne, wtedy odbierałem jako znak. Widziałem w tym nieszczęsnym ptaku swój własny upadek – od bohatera do kogoś, kto współczuje zwykłej kurze.

I wtedy przypomniałem sobie tamtego chłopaka.

Przysłali go rok wcześniej. Młody, pewnie pierwszy kawaler w swojej wsi. Przystojny, nie da się ukryć. W dodatku bystry. Szybko się uczył. Pilnowaliśmy go jak oka w głowie. Zamykaliśmy w okopach, braliśmy na siebie szturmy. Wiedzieliśmy, że nie przetrwa długo, jeśli go nie ochronimy.

Był gadatliwy. Trzepał jęzorem jak papuga, grożąc, że napisze do komisji wojskowej, jeśli nadal będziemy traktować go jak dzieciaka. Kuffner tylko spluwał na te pogrożki. Pół roku przed tym kapitan stracił kolejnego syna – i prawdopodobnie w tym młodym widział jego cień. Może był do niego podobny z wyglądu. Czasem tak się zdarza. Jesteś wewnętrznie wyczerpany, tracisz kolejnego syna. Nikt nie miał nic przeciw, bo domyślaliśmy się, o co chodziło. W końcu sami się do niego przywiązaliśmy. Miał zresztą dobre poczucie humoru. Dobrze bawił nas swoimi anegdotami.

Pamiętam, był spokojny jesienny dzień. Przeprawiliśmy się przez rzekę. Panowała taka cisza, że słyszeliśmy, jak woda obijała się o kamienie. Chłopak oddalił się kawalek – chciał się odlać. Minuta. Dwie.

Potem ten dźwięk.

Świst, jakby strzała przecinała powietrze. Chwilę później eksplozja. Rozbiegliśmy się w milczeniu. Każdy w swoją stronę, gdziekolwiek się dało. Po długich minutach ktoś ruszył zobaczyć, czy byli ranni.

Pamiętam, jak zobaczyłem tamtą ziemię. Spaloną. Jeszcze parującą.

W niewielkim wgłębieniu widziałem tylko ślady. Jego dłonie leżały osobno, w kurzu. Nadal na czymś zaciśnięte. Brzuch rozerwany. Jelita wypadły jak sznurki z wnętrzości lalki. Gęsta krew. Ciepła, wilgotna

ziemia. Widziałem to i nie mogłem pojąć. Sekunda zdecydowała. Jeden ułamek sekundy. Jedno zejście z drogi.

Jak miałem po tym wszystkim patrzeć na skręcającą się kurę i nie czuć czegokolwiek?

Czy ktokolwiek zdrowy mentalnie mógłby znieść ten widok?

A był to tylko jeden z licznych dni na wojnie. Aczkolwiek po raz pierwszy tak prawdziwie się przeraziłem – jak szybko możesz stracić własne życie. Koledzy zebrali wszystko, co znaleźli, i wrzucili do resztek okopu. Błede oblicze nie schodziło z kapitana przez długi czas.

– Daj sobie z tym spokój. – Herbert klepnął mnie lekko w ramię. – Co, do diabła, się z tobą dzieje?

Ocknąłem się. Mrugnąłem wyrwany z letargu.

– W porządku. Zamyśliłem się – wymamrotałem.

Przyjaciel wiedział od dawna, że coś ze mną nie tak. Nie mówił tego głośno, ale widziałem po jego spojrzeniu. Unikał pytań, które mogłyby mnie pogrzyżyć, a ja... ja nie chciałem o tym mówić. Bo co miałbym powiedzieć? Że czasem bałem się zasnąć, bo słyszałem dźwięk łamiących się kości? Wtedy faktycznie czułem się źle.

Wróciliśmy do obozu tuż przed zmrokiem. Chłopaki krzątały się wokół ogniska, ktoś coś ciął, ktoś inny gotował w garze coś, co przypominało zupę. Na nasz widok – a właściwie na widok kur – rozjaśniły się twarze.

Nie jedliśmy dobrego mięsa od wielu dni. Konserwy, suchary, popłuczyny z fasoli – to wszystko smakowało jak gówno.

Herbert od razu przejął inicjatywę i wziął się za kuchnię. Nikt mu nie przeszkadzał. Każdy z nas miał swoje miejsce i wiedział, że pewne rzeczy lepiej zostawić innym. A on się znał. Potrafił zrobić coś z niczego.

Tytu-tytu i już – zupa z koniny gotowa. Tak o nim mówiliśmy. Śmialiśmy się, że z Herbertem głód niestraszny, nawet jeśli trzeba by gotować w menażce wodę z kałuży. Mieszał w garnku z tą swoją powagą.

– No patrzcie, ludzie – rzucił w tłum – kura z lasu, a smak jak z oberży!
Tylko rumu brak!

Chłopaki się zaśmiały. Ktoś rzucił:

– Widzi Bóg, Herbert po wojnie dostanie własną knajpę: Kuchnia pod Ostrzałem!

– Albo raczej: Ostatnia Wieczera przed Bitwą – dodał inny, śmiejąc się ponuro.

– A niech was szlag! Żryjcie i nie gadajcie – nakazał Herbert.

I choć to były tylko żarty z pustym żołądkiem, to przez chwilę... naprawdę poczuliśmy się jak ludzie. Jak przyjaciele, nie mięso armatnie. Ogień trzaskał. Byliśmy razem. Jeszcze żywi.

A tymczasem mijały już ponad trzy lata na froncie. Dlaczego wciąż oddychałem – nikt dokładnie nie wiedział. Ja sam też nie miałem pojęcia. Prawdopodobnie to tylko kwestia czasu. Bo wtedy tak właśnie wyglądał mój sens życia: istnienie w poszukiwaniu śmierci.

Być może Ty wiedziałeś.

Prawie od pierwszych kroków i pierwszych słów wychowywano mnie w kulcie wojny. Włożono ogromny wysiłek w to, by zrobić ze mnie mężczyznę. No wiesz, silnego i milczącego, czasami bezlitosnego. A może nie mężczyznę, lecz maszynę do zabijania.

Gimnazjum. Szkoła kadetów. Obowiązkowa służba. Potem wojna.

Lekcje musztry i dyscypliny. Wykłady o chwale i ojczyźnie. Wbijano we mnie słowa jak naboje. Byłem jak kwiat śmierci – zasadzony, podlany odpowiednią wodą, ogrzany fałszywymi myślami, karmiony krwawą mową. A potem, gdy owoce zostały zebrane, pozostawiony sam sobie. Bo już nie byłem potrzebny.

Stawałem się zbędny – tak mnie nauczono. Bronić ojczyzny. To było moje zadanie. I nic poza zabijaniem nie potrafiłem. Przecież dobrze wiesz, Panie, z jakiej rodziny pochodzę. A ja szukałem. Ciągle szukałem. Brnąłem przez ciemne krzewy, próbując znaleźć choćby jeden promień światła.

Mówi się, że sens ludzkiego życia ocenia się przez jego rezultat. A końcowy rezultat jest zawsze taki sam – śmierć. Nic nie jest bardziej oczywiste niż śmierć.

Ci, którzy próbują budować sens bez uwzględnienia końca, żyją w złudzeniu. Wszystkie wartości, które wyznają, są puste, jeśli oni nie potrafią spojrzeć śmierci w twarz. Bo świat może skończyć się w każdej chwili – i nie będzie go obchodzić, jakie miałeś plany, czego pragnąłeś, co ci się należało. Jeden moment. Koniec.

Ale my, wojownicy, widzieliśmy setki, tysiące śmierci. Roztrzaskane kości, twarze pozbawione oczu i spalone domy. Broniliśmy osieroconych dzieci i grobów ich zamordowanych rodziców. Spoglądaliśmy śmierci prosto w oczy. Nie raz i nie dwa.

A ludzie? Zawsze odwracają wzrok. Zamykają oczy, gdy widzą śmierć. Próbuje nie myśleć. Udawać, że jej nie ma. Że jeszcze nie czas. A ja? Gdzie miałem szukać sensu, skoro całe moje życie było smutnym poematem o wojnie?

Najpierw walka z własną rodziną, z samym sobą. Potem brutalna rozprawa z mężczyznami, którzy byli tacy jak ja. Przypadkowi przeciwnicy.

Ci starsi mieli domy. Rodziny. Ktoś na nich czekał. Mieli dla kogo żyć. Mieli do kogo wrócić. My nie mieliśmy nic. Nie mieliśmy żadnych wspomnień, do których można by się cofnąć. Żadnej ukochanej osoby, która pisałaby listy. Żadnych dzieci, które śniły o powrocie ojca. Nie znaliśmy świata bez huku dział i świstu kul.

Skończy się wojna, przyjdą przemówienia, generalskie uśmiechy i kolorowe szarfy. Przejadą kolumny z błyszczącym sprzętem, żołnierze pójną równym krokiem, a na trybunach będą klaskać ci, którzy nigdy nie słyszeli świstu pocisku nad głową.

Ale nie będzie tam nas – kulawych, poparzonych, rozbitych od środka. Nie pokażą protez ani blizn. O nas nikt nie będzie mówił.

Zapomną o obiecanych pensjach i powojennych świadczeniach.

A potem, kiedy przyjdiesz po pomoc – usłyszysz spokojny głos urzędnika:
„Nie teraz. Nie ma środków”.

I nawet nie będziesz miał siły się złościć. Bo wszystko to już wiesz
Zostawiono nam tylko pytania.

Pytania, pytania, pytania...

A ja... ja tylko chciałem znaleźć choć jedną odpowiedź.

-II-

Przenieśmy się, Panie, o rok naprzód – do lata 1918, wprost do dusznego wnętrza konfesjonału. W półmroku nasyconym żywicznym dymem i ciepłym zapachem topionego wosku siedziałem zdławiony naporem przemyśleń o Twojej Obecności.

Miał to być pogodny, zupełnie zwyczajny poranek. Kolejny niczym niewyróżniający się dzień. Nic nie wskazywało, że coś miało się wydarzyć. Słońce świeciło tak samo jak setki dni wcześniej. Słyszałem znajome dzwony, widziałem tych samych ludzi – powolnych, skupionych, nieobecnych.

Rozpoznałem tę twarz, której subtelne rysy przebijały się przez drewnianą kratkę konfesjonału – to był ten młody mężczyzna w mundurze. Mam dobrą pamięć. Przez kilka dni widziałem go na porannej liturgii. Nie przystępował do Eucharystii. Wychodził, gdy inni przyjmowali Ciało Chrystusa. To drobne zakłócenie w rutynie dręczyło mnie jak drzazga pod paznokciem. Byłem zaintrygowany.

– Jestem tu po raz pierwszy, ojcze – wyszeptał, uklękawszy.

– Nigdy nie jest za późno, by zwrócić się do Boga. On zawsze nas słucha i widzi. Czasem przychodzimy z dobrymi wieściami, czasem przynosimy tutaj nasze żale i zwątpienia.

Zawahał się.

– Właściwie... w tym tkwi problem, ojcze. Zgrzeszyłem przeciwko Niemu i nie wiem, czy jeszcze mnie wysłucha. Jak mam się modlić, jeśli nie jestem w stanie usłyszeć Jego odpowiedzi?

Zamilkł. Oddychał płytko.

– Czuję, że coś zakłóca mój kontakt z Nim. Jakby ktoś przejął fale...

i zamiast Jego głosu dociera do mnie tylko szum i pustka. Nie wiem, czy kiedykolwiek mnie usłyszał.

Zacisnąłem dłonie na kolanach. Znałem ten stan. Niepokój, który zjada człowieka od środka.

W głębi jego oczu, których blask ledwo przebijał się przez kratkę, ujrzałem płonąca ranę. Nie taką, z którą ludzie przychodzą codziennie, prosząc o duchowy opatrunek – o przebaczenie za zdradę, kradzież czy pychę. To było coś znacznie bardziej drastycznego, coś o wyjątkowo tragicznym wydźwięku.

– Każda duchowa rana wymaga swojego lekarstwa – powiedziałem cicho. – Zaczynj od tego, co boli cię najmocniej.

– Jestem żołnierzem – wyrzucił gniewnie. – Żeby przeżyć, musiałem zabijać. Wiem, że to brzmi zwyczajnie – dodał już ciszej, głos mu się załamał. – W końcu wojna, nieprawdaż? Ale... ja nie wiem, czy to wszystko było słuszne.

Oparłem czoło o zimne drewno kratki i spojrzałem na smugi światła, które przedzierały się ze świątyni niczym ostrza. Chciałem ujrzeć jego twarz, dostrzec każdy skurcz mięśni, każdy błysk w oku, gdy zmagał się z własnym sumieniem.

– Czy oni naprawdę zasługiwali na śmierć? – zapytał drżącym głosem. – Rozumie ojciec? Nauczyłem się zabijać... ale nikt mnie nie nauczył, jak cokolwiek stworzyć.

Przełknąłem ślinę. Pogrzeżyłem się we wspomnieniach. Znów znalazłem się tam, w środku tego piekła. Znów byłem człowiekiem, który sam wiedział, jak pachnie spalone mięso. Ten przerażający smród rozkładającego się ciała, metaliczny dźwięk świszczących kul...

Znajome uczucie bezradności. Co miałem powiedzieć temu chłopcu? Jaką wartość będą mieć moje słowa, gdy sam nie znalazłem rozumienia tej materii?

– Przykazanie „Nie zabijaj” – zacząłem ostrożnie – w oryginalnym

znaczeniu oznacza „nie stosuj niesprawiedliwej przemocy”. Wojna to nie wybór. To narzucona rola. Szukaj odkupienia w tym, co możesz zbudować. Pomóż ocalałym, buduj mosty między ludźmi, pisz dziennik. Każdy akt tworzenia jest odpowiedzią na śmierć.

Nie miałem pojęcia, czy mówiłem mądrze, czy tylko powtarzałem to, czego mnie nauczono. Złożony krzyż drżał mi pod palcami, ale kontynuowałem:

– W określonych warunkach obrona przed agresją jest usprawiedliwiona. Czasem zostajemy rzućeni w nieludzkie sytuacje, i to właściwie od nas zależy, jak się wtedy zachowujemy.

Chłopak westchnął głęboko, odwrócił wzrok i unióśł twarz ku krzyżowi, który wisiał nad jego głową. W jego pięknych oczach migotał cień niepokoju. Przełknął ślinę, a z ust wydobył się drżący szept:

– Nie zrozumieliście, ojczec... Gdyby słowa mogły unieść ciężar tego, co siedzi w człowieku, byłoby nam łatwiej. Ale nie uniosą. Zostałem katem. Egzekutorem. Nie chodzi o to, że kazano mi zabijać. Najgorsze jest to, że robiłem to bez żadnego żalu. Bez wahania. – Westchnął po raz kolejny. – Nie byli to Rosjanie – nadal szeptał – ani Francuzi. To byli... nasi. Ci, których znałem. Zeszłej jesieni udało nam się odeprzeć atak. Ale wiele rodzin porzuciło wsie, bo nikt nie miał już siły walczyć. Nikt. Potrzebowaliśmy żywych. Ale kto, do jasnej cholery, był na tyle głupi, by dobrowolnie iść pod lufę?

Cisza. Tylko stary dzwon w wieży.

– Po kilku dniach przyszedł posłaniec. Przyniósł rozkaz: mobilizacja. Każdy chłopak w wieku poborowym, bez wyjątku, miał się stawić. Kto odmawiał... kula w łeb. Ale... i tak nikt nie przyszedł. Strzelaliśmy. Bo kazali. Bo jak nie ty, to ktoś inny... To mnie cały czas męczy.

Żołnierz unióśł wzrok. Jego oczy, zdradzające, że niedawno płakał, płonęły brutalnym ogniem rozpacz i gniewu. Spojrzenie przeszło

przestrzeń konfesjonału. W tym bezsłownym zetknięciu czułem cały ładunek śmierci, której był świadkiem – i której stał się narzędziem.

– Do wszystkich. Rozumie ojciec? – wyrzucił ze złością. – Do chłopaków, do starych... Bo nie mieliśmy, do jasnej cholery, wyboru. Co miałem zrobić? Co by zrobili ze mną, gdybym odmówił?

W głosie drżał bunt przeciw światu i przeciw samemu Bogu. Spuścił wzrok i zamilkł, jakby każdy dźwięk ranił jeszcze bardziej.

– Powie ojciec, że zwariowałem. I ojciec chyba nigdy nie zastanawiał się, czy nacisnąć spust, czy puścić kulę w powietrze – szepnął niemal do siebie. – O tym myślałem, gdy byłem pierwszy miesiąc na froncie. A potem... robiłem to bez żalu. I o to chodzi. Dla mnie ludzkie życie przestało mieć znaczenie.

Przygryzł wargę. W mroku konfesjonału dalej migotał cień jego złości.

– Pokój Boży... Skoro On wszystko widzi i wszystko słyszy, dlaczego nie powstrzyma tego koszmaru? Czy kiedykolwiek będę umiał obdarzyć Go przebaczeniem?

Milczałem razem z nim, bo wiedziałem, że czeka na tę odpowiedź, której i ja nigdy nie usłyszałem. Rozgrzeszenie nie było tym, czego pragnął; wcale nie po to tu przyszedł.

– Na wojnie wszyscy chcą żyć, ojciec – mówił dalej. – Jak nie skierujesz lufy na drugiego, to on skieruje ją na ciebie. I wtedy nikt cię nie zapyta o sumienie. Czyż nie tak to się układa od wieków?! – syknął. – Sprawiedliwość! Patriotyzm! Ha! Tfu! Patriotyzm? W imię kogo ja zabijałem? W imię imperiów, które nawet nie wiedzą, jak mam na imię?

Tak, oczywiście, że tak. Ciągnęło mnie na zewnątrz, daleko od tego dusznego konfesjonału; na powietrze, gdzie każdy wdech przyniosłby ulgę.

Zapanowała cisza. Nieznośna, przeklęta cisza. Ani on, ani ja nie potrafiliśmy znaleźć słów. Żołnierz oczekiwał pokory, chciał usłyszeć mój wyrok, by dodać go do ciężaru własnych win. Właśnie po to tu przyszedł.

Jego wewnętrzna wojna rozrywała duszę na strzępy – każda spowiedź

była jak sól w odwiecznej ranie. A nawet najłagodniejsze słowo tylko rozbudzało w nim pragnienie pokuty.

– Chrystusowe kazanie, by nie odpłacać złem za zło, nie potępia każdej wojny. Ale potępia serce, które pragnie zabijać – odpowiedziałem.

Owszem, było to kolejne wyuczone słówko, którego oczekiwali ode mnie ludzie. W głębi duszy sam nie byłem pewien, czy wtedy w to wierzyłem. Czy wierzyłem kiedykolwiek.

Nic nie odpowiedział. Milczał.

– Czy się modliłeś? – zapytałem. – Modlitwa to wszystko, co w nas pozostało z człowieka w tej sytuacji.

– Ojciec... nie wiem, czy mam jeszcze prawo prosić Boga o cokolwiek, nie wiem, czy nawet chcę – wydusił. – Każdego poranka budzę się z pustką. Próbuję mówić. Tracę wiarę. A może już ją straciłem. Może to usprawiedliwienie. Może jestem tchórzem, który próbuje swoją nędzę zepchnąć na wolę Bożą. Codziennie odmawiam pokutę za to, że chcę żyć, bo wiem, że gdyby było trzeba, zrobiłbym to znowu. Ojciec... ludzie potrafią utopić innych, żeby samemu przetrwać.

– Pogarda to ujawnienie niemocy, przyjacielu. – Uśmiechnąłem się smutno. – Wojna zawsze chodzi w parze z pogardą. Coś o tym wiem.

W tamtej chwili poczułem, jak cień mojej własnej myśli przecina ciszę. Strach, tak stłumiony i zapieczętowany w głębi duszy, znów chciał wydostać się na zewnątrz. Wiedziałem, że jeśli pamięć o wojennych dniach powróci w całej ostrości, nie ochroni mnie żaden krucyfiks ani żadne słowo. Bałem się własnych wspomnień – wspomnień o rozbitych wioskach, o krzyku dzieci, o rękach, które wstrzymywały się przed pociągnięciem za spust, a potem z zimną krwią go naciskały. I zastanawiałem się: jak pomóc człowiekowi, którego własne wspomnienia pragną go zabić na nowo?

– Pogarda, ojciec? Człowiek na wojnie przestaje być człowiekiem. Te twarze widzę za każdym razem, gdy zamykam oczy. Jak maniactwo, nie mogę wyrzucić ich z głowy...

– Zatem pomodlimy się razem, żołnierzu – zaproponowałem, licząc, że tego dnia z jego ust nie padnie już żadne kolejne bolesne wyznanie.

– W samą porę, ojcze... – wyszeptał.

W mojej piersi rozlała się odrobina spokoju. Wziąłem różaniec, złożyłem ręce i przystąpiłem do modlitwy, mając nadzieję, że wspólne słowa przyniosą choć okruchy ulgi dla jego duszy... i mojej.

– Spójrz, Panie, miłosiernym okiem na nas. I wysłuchaj naszych modlitw, które z wiarą składamy, bo sam mówiłeś: „Wszystko, o co w modlitwie prosicie, stanie się wam, tylko wierzcie, że otrzymacie”². Dlatego i my, chociaż niegodni, ufając Twemu miłosierdziu, prosimy: daj nam łaskę, przebacz nam nasze grzechy, ochroń nas od wszelkich wrogów, widocznych i niewidocznych, osłaniaj od wszelkich niebezpieczeństw, nieszczęść i smutku, ochroń od choroby i daj nam przebaczenie i spokojne życie, abyśmy chwalili Twoje Świąte imię. Amen.

Przeżegnałem się wtedy, myślą zwracając się ku Niebiosom. Czy słyszałeś te modlitwy, Panie?

– Żołnierzu – powiedziałem już głośniejszym głosem, z siłą, której się po sobie nie spodziewałem. – Módl się przez siedem dni i siedem nocy. Otwórz psalterz i studiuj psalmy. A gdy serce naprawdę poczuje skrucę, przystąp do Eucharystii.

Nie odpowiedział od razu. Wpatrywał się w swoje dłonie, oplecione paciorkami różańca. W końcu skinął głową.

– I pamiętaj – dodałem szeptem – wojny się kiedyś kończą.

Chciałem dodać, że nie wszystkie... że niektóre nocne koszmary trwają w nas dłużej niż wystrzały karabinów. Ale powstrzymałem słowa. On potrzebował nadziei, nie mojego zwątpienia.

– Dziękuję, ojcze – wydusił wreszcie głosem jeszcze drżącym, ale cząstka nadziei tliła się w nim wyraźniej.

² Mk 11,24, Biblia Tysiąclecia, wyd. 5, Poznań 2003.

- Ja tylko wypełniam Jego wolę – odparłem.
- Chwała Chrystusowi!
- I wieczna chwała.

Przez kratkę konfesjonału wślizgnęło się bladoniebieskie światło poranka, łagodnie muskając kamienne posadzki i ołtarz. W tej chwili nawet mury kościoła zdawały się odetchnąć z ulgą.

Chwilę później sylwetka żołnierza zniknęła za drzwiami świątyni, a ja zostałem sam – wyczerpany i pusty w środku. Tak głęboko pochowałem bolesne wspomnienia, że każdy powrót do tamtych dni wywoływał we mnie panikę. Walczyłem z chłodem w sercu, próbując odgonić obraz młodego żołnierza i zapomnieć o ciężarze jego słów.

Słuchałem innych spowiadających się – ich grzechów, tajemnic, prób zbawienia. Ale moje myśli błądziły zupełnie gdzie indziej – po świecie, który zostawiłem jeszcze nie tak dawno. Chciałem, by w tamtej chwili wszystko było po staremu.

A potem – poranek. Jak zawsze. Tyle że tamten poranek okazał się inny.